

Dziwna historia



ELIZA ORZESZKOWA

GLORIA VICTIS

Dziwna historia

*„I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okieć wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata”.*

Henryk Skirmuntt: Poezje

Za oknami stała czarna noc listopadowa i wzdychała podnoszącym się, to opadającym szumem wiatru.

W dużym pokoju pełnym książek i obrazów panowała cisza i dotykane dalekim światłem lampy mętnie majaczyły iskry pozłot na książkach i zarysy obrazów na ścianach.

Rozmowa nasza, coraz cichsza, staczała się z rzeczy powierzchownych i powszednich ku tym, które zwykle spoczywają na dnie pamięci bezsenne, lecz milczące i przemawiają tylko w święta ufnych rozrzewnień.

Wysmukła, wątła, siwiejąca, ze śladami niedawnej jeszcze piękności na opłatkowej twarzy, siedziała obok mnie z czołem pochylonym i głębokim wejrzeniem oczu, w których odbiły się na zawsze oblicza wielkich smutków. Gdy mówiła, drobne wargi jej podobne stawały się do drżących płatków poblądłej w upałach róży.

— Wyrzekasz, że nie rozlegają się dziś po świecie czyny wielkie, mające moc obudzania wielkich myśli. Skarżysz się, że na wyobraźnię twą pospolitość serc i losów ludzkich sypie maki uspienia, że jak wzrokiem zatoczyć, nic nie dzieje się pięknego czy strasznego, lecz wielkiego, dziwnego.

Może nie masz słuszności; może to wina nie tylko świata, lecz i twojego wzroku. Może w pobliżu twoim dzieją się rzeczy straszliwe lub piękne, których ty odkryć nie umiesz w mgłę pospolitości. A pospolitość, czy pewna jesteś, że pospolitością jest aż do dna i na dnie swym nie ukrywa pierwiastków, choćby zaczątków takich, że gdybyś je dostrzec potrafiła, na widok ich oczy twe szeroko otworzyłyby się od zdziwienia?

Szczególniej o duszach ludzkich sądów rychłych i wzdychających nie wydawaj nigdy, bo diamentów i piękności, koralów bólu, żużli pożarów, które drzemną w ich jądrach tajemnych, ani domyślać się czasem można pod grubą zasłoną powszednich spraw i dni. Trzeba umieć zasłonę tę odgarnąć ze statuy, a niekiedy odgarnia ją wichur zdarzeń.

Pragniesz historii dziwnej... Za oknami stoi czarna bezoka noc i wzdycha. Taka cisza w tym pokoju i tam w głębi, to mętne migotanie pozłot na oprawach książek... Posłuchaj!...

Miałam lat dwadzieścia. W braku rodziców wcześniej zmarłych wychowywał i wykształcił mnie brat. Wiesz dobrze, kim i jakim był brat mój. Umysł niepospolity, lecz stokrotnie niepospolitszy jeszcze charakter. Stworzony na wodza, przez krótki moment życia swego był sławnym wodzem. Ale przedtem z czułością niemal macierzyńską i oddaniem zupełnie ojcowskimi przygotował mnie do życia. Nie ma też słów, którymi wypowiedzieć bym mogła, jak silnie byłam do niego przywiązana, jak byłam mu wdzięczna za to, że głowie mej dał więcej światła, a sercu więcej ciepła, niż ich zazwyczaj miewają dziewczęta

mego wieku i mego stanu. Bo o tym, abym kiedykolwiek umysłowe światło swe na chleb powszedni przerabiać była zmuszona, nikt ani pomyśleć nie mógł. Byliśmy bogaci.

Jednak miałam lat dwadzieścia, kiedy pomiędzy mną a tym najdroższym bratem, opiekunem i mistrzem moim, padł kamień obrazy. Nie przestałam kochać go, ale zamknęłam przed nim serce. Nie wybuchnęliśmy widocznymi znakami poróżnienia, lecz zwątpiła się w nas ta najważniejsza w harfie przyjaźni struna, którą jest zaufanie.

Przestaje być przyjacielem naszym ten, przed kim przestajemy otwierać na oścież serce i pokazywać wszystko a wszystko, co w nim jest. Przestałam serce otwierać przed bratem, ponieważ wzgardliwie i niechętnie spojrział raz na to, co od brzegu do brzegu wypełniać je zaczynało i stawało mi się bardzo drogie. Raz tylko okazał swoją niechęć i wzgardę; wystarczyło mi to do szczelnego ust zamknięcia. A on pomimo szczelnie zamkniętych ust moich domyślał się, co było w moim sercu i obrażony, zmartwiony milczał także.

Mówiliśmy z sobą o wszystkim oprócz tej jednej rzeczy, która obchodziła nas najżywiej; więc pomimo przebywania w ścianach jednego domu i pomimo przeszłości łączącej nas mnóstwem wspomnień drogich, czuliśmy się dalekimi od siebie, rozłączonymi.

Oboje mieliśmy w sobie tę obraźliwość, która nie wylewa się w słowach, lecz owszem, zapadając w milczenie, nabiera od niego trwałości i goryczy.

Przyczyną mojej obrazy była wzgardliwa niechęć ku temu, co we mnie obudziło powściągnięty tak niezmożone, że przeciąć je może tylko niezmożony również nóż przeznaczenia.

Wówczas to właśnie zaczęły rozlegać się po świecie hasła i wołania, poprzedzające zazwyczaj ten huk gromowy, z jakim spadają na ludzkość tragiczne momenty jej dziejów.

Ku tragicznemu momentowi życia naszego i dziejów ogólnych, ku jednemu z tych momentów, które na nici pojedynczych istnień spadają jak noże nieubłaganych przeznaczeń, ja i brat mój, ten brat najdroższy, którego imię stać się miało wkrótce...

O, sławne i drogie!

Zbliżyliśmy się z duszami rozłączonymi. I patrz tylko, patrz, jak żywiołowo rwącym jest to uczucie, które od krańca do krańca świata i od kresu do kresu wieków chodzi po kwiatach, po motylach, po ptakach, po ludziach i kto wie, może po gwiazdach, jeżeli na gwiazdach cokolwiek oddycha rozkoszą i boleścią życia! Ono to rozluźniło nasz związek, przedtem tak ścisły...

Bo i o cóż nam poszło? Poszło nam o młodego sąsiada...

Był to właściwie młodszy brat jednego z naszych sąsiadów, nie mieszkający w tej okolicy, mnie dotąd nie znany, który w odwiedzinie przyjechał do domu brata. Raz wesołą gromadką wpadliśmy do tego domu i zaledwie wpadłszy wypadliśmy znowu, aby pobiec do lasu. Wtedy po raz pierwszy go spotkałam...

Czy słyszysz, jak głęboko westchnęła za oknami ta czarna noc? I teraz jeszcze toczy się to westchnienie coraz cichsze, coraz głuchsze, coraz dalsze, a tu, w pobliżu, wzdymać się poczyna nowe...

Zielony dzień majowy. Las szmerami zefirów rozszepcany, młode pędy sośniny jak pęki świec w kandelabrach wyprostowane i jasne w słonecznym złocie, na murawie usianej deszczem jaskrów i bratków, wysoki krzak róży dzikiej w pełnym kwiecie.

Szliśmy po murawie rozmawiając, zrywając jaskry i bratki, gdy on ujrawszy nas, niespodziewanym spotkaniem zdziwiony i zabawiony, stanął u wysokiego krzaku dzikiej róży. A mnie od pierwszego spojrzenia przewinęła się po głowie myśl, że jest mu w różach ogromnie do twarzy.

Gdy na powitanie nasze odkrył głowę, to z polyskami ciemnego złota we włosach, z czołem białym, z oczyma i ustami rozblysłymi od uśmiechów wydawał się wśród rozradowanego obrazu wiosny wcieloną radością i życiem. Wydawał się bożkiem tego lasu pięknym i nie znającym z życia nic oprócz radości.

Szło nas tam razem rówieśnic kilka, lecz tak się jakoś złożyło, że przez krótką chwilę rozmawialiśmy z nim u różanego krzaku tylko we dwoje.

Powiedziawszy mi swoje nazwisko dodał, że w odwiedzinie do brata przybył na krótko, ale teraz widząc, że okolica ta nie jest uroków pozbawiona, zabawi pewnie długo.

Niektóre z róż przekwitały i powiewami wiatru trącane zrzuciły mi trochę płatków na ręce i suknie. Jeden upadł na jego złote włosy i drżał tam jak różowy motyl.

Potem szliśmy już razem. Ze swobodą i wdziękiem ulubieńca losu i świata czynił nam honory tego lasu, pokazując ścieżki najkrętsze i do najcienistych ustroni wiodące,

drzewa najwynioślejsze, polany najbogatsze w słońce i w kwiaty. Kwiatów, które dla nas zrywał, miałyśmy pełne ręce, a ścieżki, ustronia i polany pełne były naszych jasnych sukien i wesołych głosów.

Co do mnie, prawie nie widziałam ścieżek, polan i ustroni, bo oczy moje on jeden tylko napelniał i wstyd mi wyznać, ale wyznam prawdę, że w tym pierwszym już spotkaniu zakochały się w nim moje oczy...

Spójrz, jak tam w głębi pokoju, w słabym dotknięciu dalekiego światła lampy mętnie majaczy na obrazie płachta białości, a nad nią wiszą białe plamy jak z próżni patrzące oczy bez źrenic...

Wiem! To obraz zimy. Śnieg na równinie i na gałęziach drzew kwiaty śniegowe...

Śnieg jak marmur twardy i pod niebem chmurnym matowo biały zaścielał szeroką równinę, gdy kulig huczny, rozdzwoniony, roześmiany wypadł z bramy naszego wiejskiego dworu, pięknego, wielkiego dworu. Bez celu, bez planu, na kilka godzin w przestrzeń szeroką, w pęd szybki, po gładkich marmurach, pod rzeźwe pocałunki lekkiego, mroźnego powietrza!

Był to zrzędzeniem wypadku czy jego zręczności, nie pamiętam, a może nie wiedziałam nigdy, ale jechaliśmy razem, tylko we dwoje. Konie jego, cztery konie stepowe, wpół dzikie, unosić poczęły sanie z szybkością tak niezmierną, że zdawało się, iż nie dotykając ziemi, suną powietrzem. Lecz jeśli było w tej szalonej jeździe niebezpieczeństwo jakie, mnie ono na myśl nawet nie przyszło, tak zajęła mnie walka człowieka z tymi potężnymi zwierzętami, które w pogoni z wichrem mogłyby, zda się, wicher przegonić i same jak cztery ogniste wichry pędziły, leciały z ciałami wydłużonymi, z płomieniami grzyw puszczonej na wiatry, wydając z paszcz radosne czy groźne chrapania, wyrzucając spod kopyt odłamy rozbitych marmurów lub iskry krzesane z drzemiących pod marmurami krzemieni.

Może nie spodziewał się, że przyjdzie mu stoczyć tę walkę, a może chciał stoczyć ją przed moimi oczyma, nie wiem, ale u samego jej początku obrócił ku mnie twarz zupełnie spokojną i poprosił, abym się nie lękała. Kilka słów tylko, lecz w spojrzeniu, które na mgnienie oka zatopił w mej twarzy, błysnęła siła tak pewna siebie, że uczułam słodycz ufności zupełnej.

Stojąc obok mnie, w dłoniach, które wydawały się żelaznymi, ścisnął wodze długie i tak wyprężone, że wyglądały jak czarne struny naciągnięte na białej harfie powietrza, którego ostre świsty wydawały się ich dźwiękami.

Pomimo szalonego pędu sań postawa jego ani na jedno mgnienie oka nie utraciała niezachwianej posągowości swych linii, ani jedno drgnienie nie przebiegało twarzy pobladłej i tylko pod futrzaną opaską czapki złote brwi zbiegły się nad oczyma, w których osiadła i świeciła błyskawica wyteżonej woli. Na wargach czerwonych miał ten wzgardliwy uśmiech, z jakim siła świadoma siebie i skupiona poskramia nieświadome i rozkielznane siły.

Przebiegła mi przez głowę myśl, że nie inaczej pewno Grecy przedstawiali sobie Fetona, gdy słonecznymi rumakami gnał po sklepieniu niebieskim.

W świstach powietrza, w piekących pocałunkach mrozu, w stuku bryzgających spod kopyt końskich marmurów śniegowych, w błyskawicowym migotaniu mijanych drzew, ludzi, zasp śnieżnych, lasów dalekich, ptaków wysoko lecących, z twarzą w płomieniach i piersią pełną dziwnej rozkoszy, nie odrywałam oczu od jego twarzy pobladłej, brwi ściągniętych, ust uśmiechniętych ze spokojną wzgardą, ramion potężnych, a jednak spokojnych i — kochały się, kochały w nim moje oczy.

Wkrótce jechaliśmy już w sposób zwyczajny, rozmawiając zwyczajnie o rzeczach, o ludziach, aż nagle zamyślił się, długo patrzył na skłon nieba, który rąbkiem seledynowosrebrnym rozdzielał chmury szare od białej ziemi i w oczach jego odmalowała się bezbrzeżna tęsknota. Wskazał mi świetlisty rąbek.

— Jak tam jasno!...

Z twarzą ku mnie zwróconą dodał:

— I pani taka jasna... jasna!

Potem ze wzrokiem znowu utkwionym w dal świetlistą rzekł z cicha:

— Są na świecie ludzie pociemnieli, którzy pragną jasności... tak pragną!

I zaraz o czymś zwyczajnym, powszednim mówić zaczął, ale nie był już wcieleniem radości życia. Jakby żalem czy tęsknotą powiało na niego od jasności niebieskiej i — mojej.

Wtedy to po powrocie z tej długiej zimowej przejażdżki rzuciłam się bratu na szyję i chciałam powiedzieć mu wszystko, ale przy pierwszych słowach moich zmarszczył brwi groźnie i niemal gniewnie zawołał:

— Jak to? Ten wietrznik, marnotrawca, próżniak!

Ramiona moje zeszytniały i opadły z braterskiej szyi. Umilkłam i odtąd milczeliśmy o tym oboje.

Zdanie brata mego podzielała w zupełności tak zwana opinia publiczna. Uchodził powszechnie za człowieka z umysłem pospolitym i z charakterem lekkim, słabym. Uchodził za jednego z tych, którzy w mowie potocznej nazywani są ludźmi bez charakteru. Podobno w żadnej szkole i w żadnej nauce nie dotrwał aż do końca. Synem rodziny majątnej będąc w ten sposób z jedynym bratem podzielił się znacznym majątkiem, że jemu pozostawił ziemię z całą surowością trudów i szlachetnością obowiązków do jej posiadania przywiązanych, a na swój dział zażądał i otrzymał tę rzecz, dającą swobodę wszystkim chęciom, niechęciom, żądom, kaprysom człowieka, którą są pieniądze. Znaczną też ich część stracił już w czasie niedługim i w stronach dalekich.

Tych rodzinnych stron swych prawie nigdy dotąd nie odwiedzał, a teraz przepędzał w nich już miesiące długie, jak wszyscy odgadywali, z powodu owego spotkania w maju, u krzaku dzikiej róży.

Wszyscy to odgadywali i usiłowali, według wyrażenia pospolitego, otwierać mi oczy. U jednych nosił on przewisko koniarza, z powodu namiętnego rozmiłowania w hodowaniu i ujeżdżaniu koni. Inni napomykali o licznych podbojach sercowych i — gorzej jeszcze...

A ja? Ja wiedziałam, że nikt nie kłamie i że wszystko jest to prawdą, ale nie całą. Wiedziałam, że przypisywane mu niedostatki i przywary są w nim istotne, ale że jest też coś nad to, czego prócz mnie nikt nie spostrzega.

Czym było to, co sama jedna w nim spostrzegłam? Ścisłe określić niepodobna. Domysły i przeczucia raczej niż spostrzeżenia.

Czasem w oczach zazwyczaj wesołych jakieś chwilowe zapatrzenie się w dal i w tym zapatrzeniu się wyraz tęsknoty bezbrzeżnej. Jakby pod błyszczącymi prochami pustego życia, w sercu rozpalał się rubin krwawy i piekł serce tak, że aż oczy w dal biegly po ratunek.

To znowu wśród rozmowy pospolitej albo płochy kilka słów odskakujących od niej dziwnie, kilka słów tylko, lecz zabrzmiała w nich nuta czci albo litości, albo wzruszenia, w którym zalał się i utonął głos.

Jakieś stopienie się śmiechu w westchnienie, jakieś ciepło w postępku czy słowie, do skrytej pieśczoły podobne... Czy ja wiem? Chwilki przelotne, promyki drobne, dźwięki wnet milknące, same przeczucia, same domysły, lecz które iskrami sypały się w serce.

Myślałam, że muszą, muszą prędzej czy później opaść z niego złe prochy życia; że musi, musi on prędzej czy później stanąć przede mną i przed światem wyższym, czystszy nad własne swe życie.

Nieprędko potem przeczytałam w jakiejś książce zdanie, że ludzie bywają czasem gorsi, a czasem lepsi od własnych swych postępków, które często, wbrew ich najgłębszej naturze, zrządzone są przez różne wypadki i wpływy. Nie umiałam jeszcze wówczas myśleć jasno, ale zdanie to było we mnie, więcej w uczuciu niż w myśli. Czulałam, że w tym lekkomyślnym człowieku z życiem marnotrawnym i próżniaczym istnieje jakiś popęd w dal i w górę, że istnieje w nim jakaś żalność i tęsknota.

Po czym żalność? Za czym tęsknota?

Przyszła chwila, że powiedział mi to sam. Wkrótce po owym szalonym kuligu przyszła piękna chwila brylantowych szronów na drzewach, a złotych snów w upojnych szczęściem sercach naszych.

Podaj mi ten wiersz młodego poety, któryśmy czytały dziś razem:

W przestrzeni przez słońce zalanej

Cienie się ścielą błękitnie,
Na ziemi w puch biały przybranej
Gałązka każda szkłem kwitnie...

Błękitne cienie słały się po białych puchach zaścielających las i na nieruchomych świerkach każda gałązka szkłem kwitła, gdyśmy się spotkali u drzwi otoczonego świerkami domku leśnika.

Czy wypadkiem? Tak się zdawało, lecz w rzeczywistości i tu leżały na dnie domysły czy przecucia moje i jego. Faktem jest niejasnym może, lecz najzupełniej prawdziwym, że z oddalenia, bez porozumienia się głosem czy okiem, odgadywaliśmy nawzajem swoje myśli i zamiary. Nie po raz to pierwszy już wiedziony tym odgadywaniem zamysłów i upodobań moich przybywał tam, gdzie byłam i nie po raz pierwszy ja ze swej strony odgadywałam, że on przybędzie...

Więc choć nie oczekiwałam, jednak nie zdziwiłam się, gdy w białej alei leśnej...

Jechał aleją śnieżną, tworząc razem z pięknym wierzchowcem swym i białością lasu obraz z zimowej czy z rycerskiej baśni.

Za chwilę dowiedzieć się miałam, jak bardzo, jak wcale nie był dumny; później w szacie z grozy i rozpacz przyjąć do mnie miała wiadomość, jak bardzo, jak niezmiernie był słaby. Ale wówczas, gdy wśród cichych szkieł szronu i marmurów śniegu zbliżał się ku leśnemu domkowi, biła z niego siła i duma syna rycerskiego rodu. We krwi mieć je musiał razem z rycerskim wdziękiem; myślałam, że musi również mieć je w duszy. Patrząc na zbliżającego się myślałam, że tuż, tuż jeździec wyciągnie silne ramię i dokona wielkiego czynu lub w turniejowej gonitwie zwycięzca, na ostrze miecza przyjmie wieniec chwały.

Były to tylko pozory, złudzenia? Tak!... Nie!... I tak, i nie.

Zeskoczył z konia i w mgnieniu oka znalazł się u stóp moich, na kłęczkach. Krzyknęłam ze zdziwienia, bo dotąd nie było pomiędzy nami nic... Zaręczyły się dotąd z sobą promienie ocz naszych, uśmiechy ust, brzmienia głosów, ale powiedzianego nie było nic...

Teraz ręce moje uwieszone były w jego dłoniach, a z ust mu płomiennym potokiem lały się słowa miłości i — rozpaczy.

Rozpaczy? Człowiek ten młody, piękny, bogaty, który tam u różanego krzaku wydał mi się upostaciowaniem samej tylko, samej jednej radości życia, rozpaczał.

Bledszy niż wtedy, gdy walczył z szalem swych stepowych koni, ze złotą brwią boleśnie ściągniętą i oczyma do ciemnych otchłani podobnymi mówił, jak mocno, jak głęboko mnie kocha i jak głęboko, rozpacznie czuje się mojej miłości niegodny.

Domek leśnika chwilowo opustoszały był ze swych mieszkańców; byliśmy sami. Byliśmy sami w białej izbie, za której małymi oknami ciężko na gałęziach świerkowych wisiły wielkie kwiaty śniegu i tylko niewidzialna, w ciemnym kącie jego duszy zaczajona, była z nami — straszna nasza dola.

Lecz jakimkolwiek był i cokolwiek w przyszłości popełnić miał ten człowiek, widziałam go wtedy szczerem aż do dna. Wyznawał przede mną wszystko, co w nim i w minionych dniach jego było słabością i winą, a pokora tych wyznań miała w sobie przejmujące krzyki cierpienia.

Cierpiał. Te niepochwytne drgnienia duszy, które spomiędzy ludzi wszystkich sama jedna w nim spostrzegałam czy przeczuwałam, były żalem palącym, tęsknotą bezbrzeżną.

— Czy pamiętasz ostatnią strofę tego wiersza młodego poety?

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata,
Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

Człowieczą prawdę, głęboką, choć rzadką, zamknął w strofie tej młody poeta.

Byłam wówczas świadkiem palącej tęsknoty człowieka za postradaną czystością swej duszy, niezmierniej żalości jego nad tym, że w dniach próżniaczych i płochych przepadła mu jego *anima immaculata*.

To upragnienie czystości i te namiętne rzuty ducha ku podźwignięciu się z nizin na wyżyny były najgłębszą przyczyną rozkochania się jego w dziewczynie tak doskonale czystej i myśli swe na wyżynach trzymającej, jaką podówczas byłam. Serce jego uczerpiło się

mnie jak nici, po której wspiąć się mogło do krain świetlistych. Z prośbami o szczęście mieszały się mu na ustach prośby o wsparcie, o takie wsparcie, jakiego kropla rosy używa roślinie okrytej przydrożną kurzawą. Marzył, że gdy mu podam rękę, podźwignie się z kurzawy. O czynach dobrych, o trudach wytrwałych, o cnocie czystej rośl tylkoż prawie, co o raju miłości podzielonej.

Odsłaniało się w nim przede mną ogromnie tkliwe rozróżnianie strony życia ciemnej od jasnej i ogromne pożądanie przebywania po stronie jasnej. Dlaczegoż tyle razy zsuwał się z niej na ciemną?

Z jakże rozumną i z jakże dobrą pokorą wyznawał przede mną te braki natury i te wpływy świata, które wobec pokus i ponęt rozmaitych czyniły go słabym! Bo nie był z rzędu tych słabych, którzy nie mają w sobie siły, lecz z tych, w których z siłą razem mieszka słabość.

I ta właśnie siła jego, truta, paraliżowana, zwyciężana przez słabość, przerabiała się na palącą tęskność za marzonymi wiecznie i wiecznie niedościganymi strefami światła, na żalność za umknionym z dłoni, za znikłym w odmętach życia, za postradany tym ptakiem niebieskim, o skrzydłach z lazuru i kryształu, któremu na imię: *anima immaculata*.

Słuchałam i słowa jego uderzały o najwyższe niebios mego serca.

Myślałam, że tylko człowiek z duszą wielką może tak dobrowolnie i aż do dna ukazywać swoją małość przed istotą, która mu jest droga i której pożąda; myślałam, że ta rozdzielająca mowa jego jest czynem pięknym i że do życia pięknego zdolność niezmierną posiadać musi ten, kto posiada tak żalosne jego upragnienie.

Więc odpowiadałam mu zrazu łzami tylko, ale potem uczułam, że myśl moja dostaje skrzydeł i płomiennym natchnieniem porwana mówić mu zaczęłam wszystkie te słowa mowy ludzkiej, które pocieszają, koją, pieścżą, kochają, dźwigają... wszystkie dobre, piękne, jasne, gorące słowa mowy ludzkiej...

I wtedy to, wśród tej rozmowy, zakochała się w nim moja dusza...

A zmierzch, od wiszących za oknami kwiatów śniegowych biały, znalazł nas na ławie leśnego domku siedzących obok siebie z połączonymi dłońmi i owiniętych lazurami takich marzeń, jakich bezchmurnie słuchać by mogło lazurowe oblicze nieba.

Bez oglądania się na ludzkie zadania i opinie, na chęć czy niechęć najdroższego mi dotąd człowieka, mieliśmy cicho i skromnie zaślubić się w maju, miesiącu pierwszego spotkania się naszego i rozkwitania po lasach dzikich róż.

A potem ileż nadziei, ufności, słodyczy, postanowień wielkich i niemal bohaterских — ach! — niemal świętych zamiarów!

Nutę bohaterstwa, niemal świętości, on pierwszy wlał w te rojenia nasze. Mniemał, że zła przeszłość jego odebrała mu prawo do szczęścia, do tak wielkiego szczęścia, jakie posiadał wraz z moim Kochaniem i że tę złą przeszłość odkupić mu potrzeba jakimś wyrzeczeniem się, jakimś trudem, dokonaniem jakiegoś czynu czy zadania.

Myśl ta była tak surowa, że nie mogłam zrazu wyrozumieć jej do głębi. Odkupienie zła przez dobro? Pokuta? Dobrowolne zadawanie sobie cierpień na łonie szczęścia? Lecz gdy wyrozumiałam, wlecieliśmy razem ku tym najwyższym strefom, na których rzadko bardzo bywają ludzkie marzenia.

Mieliśmy majątki nasze rozdać na dzieła miłości i miłosierdzia, a sami żyć zaledwie bez niedostatku, nie pożądamy i nie szukając żadnych uciech innych oprócz tej niewymownej, że należymy do siebie, że jesteśmy z sobą, że trzymamy się za ręce i że dusze nasze trzymają się za skrzydła...

Mieliśmy wzbijać myśli nasze ku najwyższym szczytom wiedzy, a serca rzucać w ogniska uczuć najszerzej po ziemi rozpostartych. Mieliśmy wspólnymi siłami czynić to, czego nikt nie uczynił, i zejść tam, kędy nikt nie zaszedł, nie przez dumę, lecz przez pokorę właśnie i z wdzięczności za to szczęście niewymowne, że jedno dla drugiego jesteśmy na ziemi...

O, młodości! O, wiaro i siło młodości! Raju serc! Locie dusz! O, oczy śniegowych kwiatów, któreście przez drobne szybki patrzyły w nasze rozpromienione ogniem świętym oczy! O, szumie lasu, któryś z zmierzchu z cicha wtórować począł słodkim naszym szeptom. Czyliż to wszystko złudzeniem tylko było, marą tylko, płonnym okłamywaniem się płonnych dusz człowieczych?

— Tak! Nie!... i tak, i nie!

Domek leśnika opuściłam z zaręczynowym pocałunkiem na ustach i z duszą w ekstazie.

Ale...

Daj chwilę spocząć przed spojrzaniem w przepaść!

Ale w maju nie wzięłam ślubu...

Umówiliśmy się, że przyjdzie on wkrótce do brata mego, aby mu o zamiarach naszych oznajmić i o zgodzenie się na nie prosić. Wymagał tego nie tylko obyczaj powszechny; wymagało tego serce moje, nie mogące przecież wyrzucić z siebie uczuć wdzięczności, przywiązania i obowiązku.

Mysł o tym spotkaniu się ich i o tej rozmowie napępiała mnie trwogą niewypowiedzianą. Pomiędzy dwoma tymi ludźmi stało coś na kształt nienawiści, do wytłumaczenia wcale nie trudnej. Wobec surowych zasad moralnych i obywatelskich brata mego, wobec jego doskonale czystej i bardzo czynnej przeszłości, przeszłość człowieka, który marnie albo i występnie dotąd trwonął lata, siły i majątek, była lachmanem godnym tylko wzgardy. Ten drugi zaś zazdrościł, strasznie zazdrościł tamtemu nieskazitelności, powagi, nie urzeczywistnionych jeszcze, lecz już przewidywanych przeznaczeń, z których przegłądało blade i może krwawe, lecz ukoronowane oblicze bohaterstwa.

Ta wzgarda z jednej strony i ta zawiść z drugiej, które leżały na samym dnie wzajemnych dla siebie uczuć tych dwóch ludzi, pozostałyby pewnie bierne i niewypowiedziane na zawsze, gdyby nie wzmagał ich, nie rozjątrzył i ostatecznie do krzyku nie pobudził wypadek, którego ja byłam przyczyną.

Ach, nie myśl, że był to krzyk rozgniewanego, grubiańskiego głosu! Byli obaj ludźmi dobrze wychowanymi i najłżejsze podniesienie głosu, żadne słowo obraźliwe czy obelżywe nie dosięgło pokoju sąsiedniego, zza zamkniętych drzwi pracowni mego brata. I dziwnie krótko trwała tocząca się za tymi drzwiami rozmowa; i nie wiem, w której sekundzie tych kilku minut padł grom, ze zwarcia się dwóch tych chmur wystrzelony...

Ale gdy drzwi się otworzyły, zobaczyłam na twarzy człowieka kochanego porażenie od gromu. Coś osłupiałego i razem namiętnie obrażonego, coś złego i zarazem tragicznego rozlewało się po jego śmiertelnie zbladłej twarzy i świeciło w sztyletach oczu bolesnych i ostrych.

Rzuciłam się ku niemu, ale gestem ręki powstrzymał mnie z dala od siebie i białymi wargami wyszeptał:

— Tutaj... nie! Pod dachem tego człowieka... nigdy! Jeżeli wytrwasz, jeżeli zechcesz, to gdzie indziej...

Nie miał prawie oddechu w piersi. Nieprzytomnie prawie ścisnął mi obie ręce, zdaje się, że bez łez załkał i wybiegł z domu.

Stałam przed bratem cała w drżeniu i w płomieniu, zamierającym głosem pytając, co mu powiedział.

Tak samo jak tamten błądy i w oczach rozgorzały, ale zawsze panujący nad sobą, zawsze silny i stanowczy, nic mi nie powtórzył, z niczego się nie tłumaczył, tylko z wielkim spokojem w postawie i głosie rzekł, że łacniej by umarł, niżby przystał na to, abym została żoną tego — łotryka.

Nie odpowiedziałam ani słowa, lecz nazajutrz nie byłam już pod dachem swojego rodzinnego domu. Byłam pod dachem swojej bliskiej krewnej, kobiety nieskazitelnej, ale wyrozumiałej, kochającej mnie, łagodnej. Było to owo „gdzie indziej”, o którym w strasznej chwili wspomniał i za które po dniach paru z radością niewypowiedzianą, z wdzięcznością bez granic, na klęczkach mi dziękował.

Trwałam więc. Pomimo że każde wspomnienie o bracie rozdzierało mi serce, trwałam w uczuciach swoich i w zamiarach, i nade wszystko, o Boże! tyś wiedział, że nade wszystko trwałam w pragnieniu, w namiętym i zachwyconym pragnieniu ratowania, wznoszenia, zabawiania tej duszy ukochanej, tak słabej i razem tak silnej, tak poplamionej i tak za czystością stęsknionej, która wszystkie swoje słabości, siły, plany i tęsknoty tak prosto i szczerze, pokornie i wzniosłe zwierzyła sercu memu i dłoniom moim powierzyła, pomocy ich wzywając.

Ale w maju nie wzięłam ślubu, bo właśnie gdy po lasach rozkwitły róże dzikie, brat mój i on zniknęli mi z oczu. Porwał i uniósł ich wiatr wypadków. Wtedy to imię brata mego rozbrzmiało po świecie sławą krótką, lecz głośną i świętą...

Nie powiedziałam ci zaś jeszcze, jak nazywał się tamten. Odwróć oczy! Nie patrz na mnie, gdy imię to wymawiać będę... A gdy wymówię je, miej litość!...

Stefan Niegirycz...

...Nie miałam litości i krzyknęłam:

— Zdrajca!...

A ona, jakby wiedziała, że cios tego słowa spaść na nią musi, ani drgnęła, tylko na długą chwilę umilkła: po czym z westchnieniami czarnej nocy złączył się znowu jej cichy głos.

— Że miał w przyszłości stać się czym innym jeszcze, o tym wiemy my dwoje, ja i mój brat, a ty dowiesz się zaraz. Ale prawdą jest, co powiedziałaś. Zdradził towarzysza i wodza swego, którym był brat mój. Stał się przyczyną srogich cierpień i śmiertelnych jego niebezpieczeństw. Imię swoje od pierwszej do ostatniej głoski okrył hańbą.

Co nim spowodowało w tej chwili fatalnej, gdy przed ludźmi mającymi rozstrzygać losy ich obydwóch stał się tak wszystkimownym? Trudno rozbierać i straszno dochodzić.

Podobno w tych grubych ścianach, wśród których przebywali razem, co chwila wybuchały pomiędzy nimi spory krótkie, lecz śmiertelne jak zatrute ostrza, padały słowa raniące srożej od kul i mieczy... Alboż wiem wszystko? Domyślam się tylko wielkości obraz po okropności zemsty. Domyślam się też rozstroju nerwów i mózgu, nagle przerwanych z szampańskiej czary użycia w cykutę trwóg i udręczeń. Nikt mi o tym nie opowiadał dokładnie. Jedne tylko usta, raz jeden, miały odwagę część winy przypisać ofierze zbrodni... Może nie myliły się. Nie wiem. Niech Bóg to osądzi.

Odzyskawszy możliwość rozporządzania się swoją osobą i swoim majątkiem opuścił strony rodzinne i zniknął. Z początku ten i ów jeszcze tu lub ówdzie zobaczył go lub o nim usłyszał, lecz po paru latach zginęła wszelka wieść. Może na drugą półkulę świata odjechał, może umarł. Nie wiedział nikt i nie dowiadywał się nikt. Lżej staje się na ziemi i piersiom ludzkim, gdy taki człowiek znika.

Kiedy brat mój przez nadzwyczajny zbieg okoliczności strasznej śmierci uniknąwszy odjeżdżał na kresy innej części świata, ja ziemię u stóp jego włosami swymi zamiotłam, z krwawym płaczem błagając, aby mi krwawą omyłkę moją przebaczył...

W głębi pokoju, dotykane dalekim światłem lampy, majaczyło na obrazie śniade ramię wyciągnięte z toporem nad ciałem bielejącym u kamiennego ołtarza.

— Kain! — szepnęłam.

— Że miał w przyszłości dalszej stać się czym innym jeszcze, wiemy dotąd my dwoje tylko, ja i mój brat, a ty zaraz się dowiesz...

Jak żyłam w pierwszych latach, które potem nastąpiły, ten tylko zrozumie, kto sam przez czas długi codziennie usypiał i budził się w łzach.

Bywają czasem momenty z takim nagromadzeniem nieszczęść, że góry tej starannie odmalowywać nie potrzeba, bo ktokolwiek pierwsze zarysy jej zobaczy, uczuć musi na sobie jej cień.

Z gniazda zielonego nad polami szerokimi, nad strumieniami przeczystymi, nad murawami aksamitnymi i alejami drzew odwiecznych zawieszono wypadłam na bruk miejski, pomiędzy mury miejskie, w zgiełek, w tłok, w kurzawę, w zaduch, w częstą obawę głodu ciała, w ciągły głód serca.

Nikt z moich najbliższych w pobliżu moim nie pozostał; najbliższy, a teraz po dwakroć, po trzykroć najdroższy brat mój cierpiał w oddali nieprzejranej. On zniknął ze świata — i gdybyż zniknął był z mojej pamięci! Ale nie.

W każdą noc bezsenną i w każdej chwili beczynnej jak w ciemną topiel rzuciałam się w niepojętą, w przeraźliwą zagadkę jego duszy i jego przeznaczeń...

Czy pewna jesteś, że po zabiciu Abla Kain, na kresy świata odchodząc, o każdym wschodzie słońca nie upadł twarzą na ziemię ze wstydu przed słońcem i zgrzytającymi zębami nie gryzł ziemi z rozpacz, że jeszcze widzi słońce? Czy nie przypuszczasz, że

nocami chodziło za Kainem widmo Abla i oddechem swym skręcało mu włosy na głowie, w kształt wijącego się w mękach płomienia?

Jeżeli mniemasz, że wielcy winowajcy są zawsze ostatnimi wśród ludzkości, jesteś w błędzie. Ten z nich, którego serce choć raz w życiu miało sen o cnocie, to król nędzarzy.

Po niezliczone razy oczyma wyobraźni widziałam go na jakichś dalekich drogach, upadającego twarzą na ziemię ze wstydu i gryzącego ziemię z rozpaczą. Po niezliczone razy nawiedzała mnie mara winowajcy, który w noc ciemną idzie ze zjeżonymi jak płomień włosami nad głową, gdy tuż za nią idą nieubłagane blade widma jego ofiar.

Czasem z pogardą odpychałam te widzenia, czując wstręt ku samej sobie za to, że nawiedzać mnie one mogą i że — o, ciężkie wyznanie! — krzeszą mi w sercu litość. A czasem z siłą opadła i do walki niezdolna, dawałam folę litości i jakimś rzutom serca bolesnym, w których wołało ono, że chce podzielać z winowajcą brzemień jego hańby i razem z nim iść jednym szlakiem ciemnym, pod jednym płaszczem straszego królowania nad wszechnądzą ziemi — iść i duszę jego z płam obmywać wiernym pomimo wszystko kochaniem, a może z obmytej, z oczyszczonej dobywać znowu te piękne światła, o których wiedziałam, że w niej były.

Wiedziałam, że były i nic nie mogło zabić we mnie tej wiary, a przecież nieraz po kątach sypialni próżnej snu, a pełnej ciemności, chichotała najstraszliwsza towarzysząca bezsensnych nocy człowieka: ironia.

Może w jakiejś dalekiej stolicy, zamiast wic się w męczarniach, pławi się on w rozkoszach, może nie ponury płaszcz króla nędzarzy, lecz wykwintny frak balowy ma na ramionach, może ze złotymi połyskami we włosach, w tych ślicznych włosach, na których tam w domku leśnym kładłam kojące i błogosławiące dłonie, u warg czerwonych trzyma puchar upojeń i znowu jest podobnym do bożka radości życia, ohydnej teraz radości?

Takich chichotów ironii słuchając, twarzą tonęłam w mokrej od łez poduszce i całą siebie rzucałam w daleką dal, pod stopy brata — bohatera, hymnami serca wielbiąc cnotę czystą, pocałunkami omywając rany świętego cierpienia.

Ale potem znowu...

O, wierz! Była to męka wielka!

Lecz życie powszednie, a zwłaszcza życie powszednie ludzi ubogich, to szary, monotony deszczyk, którego krople malutkie a niezliczone padają, padają, padają na myśl i serce, aż skrzydła myśli przybiją do ziemi i serca rubiny pogaszą.

Z majątnej córki wiejskiego dworu stałam się biedną dziewczyną, która w ciasnych izdebkach domku stojącego nad rynsztokiem miejskiego zaułka całodzienną pracą zarabiała na codzienny kawałek chleba.

Po miastach, po miasteczkach wiele nas wówczas było takich gołębic wypadłych z gniazd puchem wysłanych na ostre kamienie bruku. Trzeba było na kamieniach wic gniazda z ostów i piołunów. Wiły je, jak umiały, gołębice, zrazu drżące od strachu, bólu, gniewu, lecz wkrótce pod ręką Bożą ukorzone, coraz mężniejsze i na koniec spokojne tym spokojem, który panuje w dni monotonnych, szarych deszczyków.

Słońca nie ma, na szczytach wieżyc złote iglice pogasły, świat szary, skrzydła duszy opadłe i tylko kędyś na dnie pamięci czerwienieją żary wspomnień o nadziejach, o tęczach, o lotach pod gwiazdy.

Mieszkania tych przybyszek od pól, łąk, lasów i ogrodów rozkwieconych w najtańszych dzielnicach miasta i w najniższych domkach tych dzielnic poznać można było po obfitości roślin kwitnących za małymi oknami, po dobywającej się zza okien muzyce fortepianowej, po wybieganiu z drzwi lub bram domków postaci kobiecych, często ładnych i zgrabnych, zawsze ciemno i tanio ubranych, śpieszących do pracy.

Pracowały, jak mogły: szyły, uczyły, wiele jeszcze robót różnych... czy ja wiem? Byłyby żyjąc moc na świat patrzeć okiem czystym, choć niezmiernie prędko i wcześniej utracającym blaski młodości.

Ja uczyłam. Nieprzeliczone są te dziękczynienia, które w myślach i listach posyłałam bratu za to, że sama umiałam tak wiele i dobrze. Mieszkały razem ze mną w trzech malutkich pokojach dwie dalekie krewne moje, z którymi w momencie przełomowym mocno wzięliśmy się za ręce, aby siłami wspólnymi znosić życie. Bo nie było już dla nas mowy ani myśli o czymkolwiek innym, jak tylko o znoszeniu życia.

Z początku bywało nam często trudno, głodno i chłodno, ale potem ułożyły się jakoś sprawy nasze we względną i stałą pomyślność. Ja i Cesia biegałyśmy z lekcji na lekcję, Różia siedziała za hafciarskimi krosnami i doglądała niedużego gospodarstwa. Godziny, podobne do kropel monotonnego deszczu, składały dni, z dni powstały lata, które tworzyły dziesiątki lat...

Jednak na te długie lata nasze oprócz kropelek szarego deszczu sypały się także drobniutkie kwiatki uciech. Tak już stworzony jest człowiek, że z piołunów choćby wydobywać sobie musi krople miodu; myśmy je wydobywały z tkwiących nam we krwi upodobań i z serc, które stwardnieć ani zamarznąć nie mogły.

Więc słabe echa od rodzinnych ogrodów naszych, te rośliny u okien, które oczyma coraz nowych koron kwiatów patrzyły w nasze zmęczone oczy, trochę muzyki o szarej godzinie, trochę czytania w dzień świąteczny, ubogie dzieci, ubodzy starcy...

Tych ostatnich wprowadziły nam w życie złote serce i praktyczna ręka Rózi. Była ona pośród nas Martą posiadającą sztukę wypiekania dziesięciu chlebów z jednej garści mąki i zarazem Marią olejki nieskończonego miłosierdzia wylewającą pod stopy ludzkiej nędzy.

Wszystko to razem nadawało życiu barwy nieświetne wprawdzie, lecz chroniące życie przed bladeścią trupią. Ze wszystkiego też tego wynikło, że przyszedł do nas ten niemy tracz...

Ten niemy tracz, którego Różia przyprowadziła raz z ulicy, aby ogrzał się i posilił, wydał się nam zrazu człowiekiem dziwnym i mnie nawet trochę przestraszył.

Trzymając w ręku list od brata przed chwilą otrzymany, weszłam do jadalnego pokoiku i nie spostrzegając obecności człowieka obcego poczęłam głośno dzielić się z towarzyszkami treścią listu, gdy nagle one krzyknęły ze zdziwienia, a ja cofnęłam się z przestraszeniem, bo ktoś mi do nóg upadł.

Nie wiedząc ani kto, ani co, ani dlaczego, widziałam tylko zwyczajną siermięgę robotniczą, rzemieniem przepasaną, jakąś głowę osiwiłą i jakieś ręce sine, żylaste, szramami i guzami okryte, które usiłowały pochwycić brzeg mojej usuwającej się sukni. W miarę jak usuwałam się, siermięga pełza ku mnie po podłodze, ręce latały w powietrzu jak liście przez wiatr targane i czoło jakieś pomarszczone, krwią nabiegłe, kilka razy uderzyło o deski podłogi. Słysząc było przy tym łkania czy wykrzyki, czy jęki chrapliwe i przerywane, jakby kto ryk morderzanego zwierzęcia na drobne kawałki posiekał.

Towarzyszki moje, dość silne fizycznie, prędko podniosły z ziemi i na stronę nieco usunęły tego człowieka, a gdy on, nagle ucichły i spokorniały stanął u okna, zobaczyłam bardzo zwyczajnego pokornego biedaka w siermiędze wyrobniczej, w grubym i ośnieżonym obuwiu, z twarzą tak ukrytą w gęstwinie zarostu, że widać było tylko krwawo czerwone powieki i nad krzaczastymi brwiami czoło żółtkłe, pełne zmarszczek. Włosy splecioną gęstwiną okrywające głowę, ogromny zarost twarzy i zwisające na powieki krzaki brwi miały barwę ciemnego popiołu.

Nędzarz! Tym większy nędzarz, że niemowa.

Różia, której litościwy wzrok od dość dawna już ścigał go wśród miejskiego ubóstwa, powiedziała nam, że człowiek ten słuch posiada, ale mowę wskutek wypadku jakiegoś podobno utracił już od dawna, że widywała go przedtem piłującego drzewo na znajomych jej podwórkach, lecz że teraz chory, pracować nie może, więc...

Ależ naturalnie, ma się rozumieć, niech przychodzi jak najczęściej! Tylko co znaczyła ta dziwna scena? Ponieważ niemym będąc nie był głuchym, więc po cichutku szepnęłyśmy sobie do uszu, że zapewne... trochę obłąkany.

Tym większy nędzarz.

A kiedyśmy pomiędzy sobą szeptały, on wyjął zza siermięgi białą tabliczkę i ołówkiem coś na niej skreśliwszy podał ją Rózi. Zobaczyłyśmy jeden tylko wyraz: „Przepraszam”. Litery były niezgrabne i zygzakowate. Cóż dziwnego? Prosty tracz! I w dodatku miał ręce zsiniałe od zimna i szramami, guzami okryte od piły czy może i od innych jeszcze narzędzi ciężkiej pracy.

Śnieg tego dnia leżał na ziemi, na dachach, zasypywał powietrze, oblepiał szyby okien, napełniał wnętrze domu matowym białym światłem.

Pamiętam!... W białym powietrzu pokoju niemy tracz siedział przy małym stole nad umieszczoną przed nim żywnością i długo nie jadł. Głowa jego nisko pochylona i twarz

gęsto obrosła tak wyglądały, jakby je okrywała gruba warstwa popiołu, a postać zgarbiona, od grubej siermięgi bryłowata, odrzynała się na śnieżnym tle okna plamą ciemną, ciężką, smutną...

Pamiętam, że w chwili owej nie wiedzieć skąd, może od śnieżnej białości tego dnia zalatywać ku mnie zaczęły echa z dalekiej przeszłości, z wczesnej młodości!

Las zasłany marmurem siniejących śniegów, szklane kwiaty szronu po drzewach, w białej alei jeździec na pięknym koniu... za małymi oknami wielkie oczy śniegów na gałęziach świerkowych, u kolan moich złota głowa młodzieńca:

I tęskność za dolą, za złotą,
Co ją jak okiść wiatr zmiata...

Ach, pozwól zamilknąć na chwilę, odpocząć.

Umilkła. Cisza napełniająca duży pokój, kończyła:

Jest skrytą za tobą tęsknotą,
Anima immaculata!

List dnia owego otrzymany przyniósł mi nieskończenie radosną wieść, że za kilka miesięcy zobaczę brata. Po dwudziestu kilku latach nieobecności miał przybyć, aby na zawsze już w pobliżu moim pozostać. Rodzina jego — bo tam, daleko, zaślubił jedną z dalekich krewnych naszych i miał śliczne podobno dzieci — przybędzie nieco później, a on ją wyprzedzi w celu urządzenia wygodnego rodzinnego gniazda. Wygodne, piękne gniazdo dla rodziny swej usłać może, bo wraca z majątkiem znacznym.

Pierwszy początek nowego tego majątku napełniał mnie zawsze wdzięcznością dla jakiegoś bezimiennego, wielkiego serca. Bo przed wielu laty ktoś przysłał bratu memu znaczną sumę pieniężną, tak zręcznie imię swoje ukrywając, że pomimo starań jego i moich odkryć go było niepodobna. Daru tego zwrócić nikt nie mógł, ponieważ nikt nie wiedział, kędy znajdowało się i jakie było jego źródło. Fakt ów zresztą, jakkolwiek niezwykle, nie był w gruncie rzeczy bardzo dziwny i świadczył tylko o tym, że bywają na ziemi serca wielkie, zdolne do uwielbienia, współczucia i niesienia czynnej pomocy przedmiotom tych uczuć.

W rozumnych i energicznych rękach brata mego z pierwszej tej cegły wyrósł obszerny gmach. Mniejsza o to, co budował, ale że w pracę swą wkładał jedną ze swych cech najbardziej znamienitych, którą była do zaciętości posunięta stałość uczuć i dążeń, więc uwieńczyła ją pomyślność. A że przy tym posiadał szczęście rodzinne...

Wicher nieszczęścia chłostał przez czas dość długi odważną tę głowę i biczem ognistym zacinał te silne ramiona, lecz pod Bożą ręką ucichł potem i głowa podniosła się znowu z pełnią swych myśli niezłomnych, a ramiona wyprężyły się do trudów i do rozkoszy życia, z pełnią swych sił niepospolitych.

Od otrzymania listu owego długie miesiące przeminęły, zanim w pokoikach naszych rozległ się krzyk szalonej radości, z jaką upadłam w szeroko przede mną rozwarte objęcia brata.

Przepłynął po nas strumień czasu i obojgu przysypał włosy srebrem, mnie przedwcześnie, jemu tak pięknie, że zdawały się być koroną promienną, która zwieńczyła jego trochę tylko zmęczone czoło. Zdrowym ujrzałam go, silnym, pełnym dawnych niezłomnych myśli i uczuć, prawie młodym.

Bywają takie słupy, które z wichrzystej burzy dobywają się proste, nienaruszone, z głowicami tak jak przed burzą dumnie i strojnie podniesionymi ku niebu; lecz są to słupy wykute z jednej bryły drogiego kamienia. Biada wśród wichrów i błyskawic tym, których wnętrzości toczą odłamy pięknych kruszców w roztokach lichej gliny!

Z gwarem zapytań, opowiadań, śmiechu zmieszanego z płaczem, wykrzyków radości, roztapiających się w westchnieniach, wprowadziłyśmy gościa drogiego do małej jadalni naszej i razem z nim zasiadłyśmy u tego stołu, przy którym przez lata długie po niezliczone razy smutne usta nasze z utęsknieniem i uwielbieniem imię jego wymawiały.

Był to jeden z tych obiadów, których nikt jeść nie chce, bo wszyscy nasyчени są przez radość i których nikt jeść nie ma czasu, bo wszystkie usta zajęte są mówieniem. Zdaje się, że z początku wszyscy czworo mówiliśmy razem, zaledwie się nawzajem rozumiejąc i choć potem rozmowa stała się porządniejsza nieco, gorączkowego tętna długo utracić nie mogła.

Z gorączkowymi rumieńcami na policzkach słuchałam brata mówiącego o zamiarach swych osiedlenia się w wielkim mieście i rozpoczęcia tam jakiejś trudnej i ogółowi użytecznej pracy, gdy krzątająca się dokoła stołu Rózia dotknęła mego ramienia z cichym szepciem:

— Spójrz! Niemy!

Spojrzałam w kierunku wskazywanym i oczy moje, z których przez brzezi wylewała się radość, ujrzały widok, z którego przez brzezi wylewał się ciężki smutek.

Przy małym stoliku u okna siedział niemy tracz, którego obecności nikt z nas, oprócz Rózi, w zawierusze wzruszeń nie spostrzegł. Była to zresztą istota tyle w życiu naszym znacząca, ile dla człowieka znaczyć może wróbel głodny i zziębły, któremu on przez okno sypnie z litości garść ziaren czy okruchów. Od roku prawie przychodził tu dość często, a nie znałyśmy jego imienia, mówiąc o nim zwykle: niemy tracz albo wprost: niemy. Spotykałam go też niekiedy na ulicach miasta, ale nigdy nie prosił mnie o jałmużnę. Rózię, owszem, prosił w sposób dość dziwny i który ją wzruszał, bo nie wyciągał nigdy ręki ani wydawał tych przykrych skomełń, które zazwyczaj wychodzą z gardła ludzi pozbawionych mowy, lecz tylko wątłe ciało jego w grubej siermiędze i głowa osypana popiołem chyliły się w pokłonie jak grób milczącym i w którym Rózia wyczytywała pokorę głęboką i bolesną. Zdawało się, że przez ten rok opadł już był na ostatnie dno nędzy. Zarabiać na chleb nie pozwalała mu choroba dawna, którą uproszony przez nas lekarz uznał za nieuleczalną. Wiedzialiśmy, że jeśli nie dni, to miesiące lub tygodnie życia tego nędzarza były policzone.

Teraz przy małym stoliku...

Ten mały stolik był miejscem, na którym zwykle Rózia żywiła naszych ubogich gości. Iluż ich najrozmaitszych: kobiet i mężczyzn, starców i dzieci siadywało przez te długie lata tam, u okna zawieszonoego z zewnątrz zielenią ciasnego podwórka w lecie, a białością jego w zimie!

Teraz była jesień i klon rosnący za oknem zawieszał je firanką z pożółkłych liści, na której tle ciemną, ciężką plamą odrzynała się postać niemego tracza, dziwna w tej chwili postać!

Siedział tak zgarbiony i z tak nisko pochyloną głową, że twarzy jego wcale widać nie było; tylko opadała mu z niej na piersi puszcza włosów twarz obrastających, przez co i głowa, i pierś jego wydawały się grubo osypane popiołem. Ręce nieduże, sine, opuchłe, szramami i guzami okryte leżały na siermiędze okrywającej kolana, a spod obwisłych krzaków brwi kapwały na siermięgę, na kolana i na ręce duże, rzęsiste łyzy. Padaly one w ciszy kamiennej. Człowiek ten cały wydawał się w tej chwili wykutym z ciemnego kamienia i można by myśleć, że w tej kamiennej postaci coś tajało i wyciekało z niej ciężkimi, cichymi kroplami.

Ani łkania, ani westchnienia, ani najlżejszego poruszenia. Tylko ze zgarbionych pleców zwisająca ta głowa osypana popiołem i spod obwisłych brwi padający na pokaleczone ręce ten deszcz ciężkich, cichych łez...

Rózia szybko przybliżyła się ku niemu i zaczęła bardzo cicho zapytywać go czy pocieszać, a on głowy nie podnosząc, wyjął zza siermięgi swoją białą tabliczkę i ręką, która trzęsła się jak liść na wietrze, ledwie czytelnymi znakami napisał znowu jeden tylko wyraz: „Przepraszam!”. W kilka minut potem nie było go już w pokoju. Rózia chciała wyjść za nim, zapytać, może pocieszyć, ale przemówił do niej o czymś najdroższy gość nasz, więc pobiegła ku niemu z odpowiedzią, zapominając...

Wszycyśmy po kilku minutach zapomnieli o niemym traczcu, płacz jego przypisując temu bólowi, jaki w człowieku wszechstronnie nieszczęśliwym obudzać musi widok ludzi szczęśliwych. A myśmy byli dnia tego tak weseli i szczęśliwi, że nie spostrzegliśmy nawet, iż świadkiem tej wesołości i tego szczęścia naszego jest ten nędzarz.

Wkrótce też zapomnieliśmy o jego istnieniu i gdy dni upływały, a on nie przychodził, jedna tylko Rózia zatroszczyła się czasem o to, co się z nim dzieje, lecz i ona, zatroszczwszy się na chwilę, zapomniała.

W rozmowach z bratem, we wzajemnych spowiadaniach i zwierzeniach, w przywoływanych z przeszłości wspomnieniach wspólnych, w układaniu zamiarów na przyszłość jeszcze długą szybko przemknęły mi tygodnie, prawie miesiące, gdy w tej jasnej pogodzie, tak dla mnie nowej, życie znowu przeraźliwie zazgrzytało.

Godzina była przedwieczorna i byliśmy w domu sami tylko z bratem, gdy ktoś z domowych podał mi list przez jakąś biedną dziewczynkę z przedmieścia podobno przyniesiony, z tego najbiedniejszego przedmieścia, co to po skłonie wybrzeża opuszcza ku rzece szary rój chatek, lepianek. List niekształtny, szorstki, z moim nazwiskiem na kopercie, skreślonym pismem niekształtnym, zygzakowatym.

Takie pismo gdzieś już widziałam... nie pamiętam! A! na tabliczce niemego tracza. Więc on to zapewne albo ktoś bardzo do niego podobny pisze z prośbą...

Rozdarłam kopertę, otworzyłam arkusz grubego papieru, wzrok mój przypadkiem upadł najpierw na podpis i — jakby mnie kto w plecy obuchem uderzył, tak porwałam się z siedzenia. Musiałam bardzo zmienić się na twarzy, bo brat przyskoczył do mnie, pytając z niepokojem:

— Co to? Co ci jest?

Tyle tylko miałam przytomności, aby mu pokazać podpis na liście i krzyknąć:

— Patrz! Patrz!

Wtedy i on krzyknął także:

— Stefan Niegirycz! Kto? Skąd? Gdzie?

A ja z dławiącymi się w gardle wołaniami:

— Gdzie? Gdzie? Gdzie? — biegłam do kuchni, w której zapewne była ta dziewczynka. Brat szedł za mną.

Dziewczynka nieduża, podłotek chudy i błądy jak głód, suszyła przy kuchennym piecu swe zmokłe od deszczu łachmany. Przez dwoje naraz ludzi z wielkim gwałtem zapytywana, zalekła, ledwie mogła odpowiadać.

— Niemy tracz prosił... zanieść... przed śmiercią...

— Umarł?

— Czy ja wiem? Gadali, że zaraz umrze...

— Więc jeszcze żyje?

— Czy ja wiem? Może już umarł...

— Lećmy! Co tchu wystarczy, lećmy! Może jeszcze... może jeszcze... Okręciłam się na miejscu, chwytając i opuszczając z rąk różne odzież, dopadając już drzwi w jednej sukni...

Ale brat, powiedziawszy dziewczynce, aby nie odchodziła bez nas, opasał mnie ramieniem i zaprowadził do pokoju, gdzie podał mi list.

— Trzeba przeczytać... — rzekł.

Prawda! Trzeba przeczytać. Może tu jakie żądanie, wyjaśnienie... W oczach co chwile stawało mi się ciemno, jednak czytałam, a brat stał przy mnie z twarzą litościwą, wciąż mnie ramieniem opasując.

Nie jestem niemy. Żaden wypadek nie pozbawił mnie mowy; odjąłem ją sobie sam. Wkrótce potem, gdy mową zgubiłem siebie i innych, zacząłem szarpać sobie włosy na głowie, krzycząc do Boga: czemu mi pierwszej mowy nie odebrał? Z tego przyszła mi myśl, że mogę ją teraz sam sobie odebrać... — za pokutę!

Tak uczyniłem. Postanowiłem, że nigdy już w życiu nie przemówię żadnego słowa do żadnego człowieka i dotrzymałem. Już więcej niż dwadzieścia lat minęło, odkąd do żadnego człowieka, żadnego słowa...

Niememu człowiekowi ciężko żyć, ale dla mnie w tej ciężkości była jedyna pociecha, bo myślałem sobie, że to taka kąpiel, która obmywa moją plamę, nie przed ludźmi, ale przed moją własną boleścią. Im trudniejsze było życie, tym mniejszą stawała się boleść. Bez tego nie zdołałbym jej znieść...

Może źle się wyrażam i pani mnie nie zrozumie, ale zapomniałem już wiele słów i jak trzeba je układać... Przepraszam, że tak źle i niezrozumiale piszę, ale zapomniałem pisać...

— Wielki Boże! — jęknął brat mój i silniej ogarnął mnie ramieniem, bo musiał uczuć, że nogi pode mną drżą i mogą upaść.

Cały majątek swój oddałem temu, który cierpiał z mojej winy. Cóż mogłem więcej? Rozdałbym, pokroiwszy, samego siebie, gdyby to było na co potrzebne, ale że nie, więc oddałem majątek. Nie zaraz to zrobiłem. Z początku myślałem, że będę mógł żyć tak, jak pierwiej. Ale nie. Wszystkiego próbowałem i wszystko mi było coraz gorszą trucizną...

A ta trucizna lała się we wszystko ze mnie samego, z tych plam, które na mnie były, a zwłaszcza z tej ostatniej. Byłem pomiędzy ludźmi, którzy o nich nie wiedzieli i ludzie zresztą prędko zapominają... ale ja sam wiedziałem i nie mogłem zapomnieć...

Spowiedź kościelna nie wystarczyła. Ta pokuta, którą ksiądz po spowiedzi mi wyznaczył, nie była żadnym cierpieniem, a jam cierpieć pożądał, jak człowiek nieczystościami obłany pożąda strumienia czystej wody. Więc bez mowy i bez majątku puściłem się w dalekie strony... za tę winę i za wszystkie inne... i za to, że nie dotrzymałem tego, co tobie, pani! przyrzekałem w tym domku leśnym...

Tu następowało coś bardzo trudnego do wyczytania, bo ręka od słabości drżąca, od pisania odwykła, od narzędzi ciężkiej pracy guzami okryta, skręciła litery w zawikłany węzeł kresek i zygzaków. Jednak po chwili wyczytałam:

Czy pamiętasz?...

Ręce prawie nieprzytomne ku głowie podnosząc, list na ziemię upuściłam, ale brat mój podniósł go i głowę mą na piersi swej opierając czytał dalej:

Jako człowiek ubogi i niemy pojechałem w strony dalekie i szukałem pracy. Pan Bóg mnie nie opuścił. Na kawałek chleba zarabiałem zawsze najczęściej jako robotnik po fabrykach albo tragarz, albo tam co innego, do czego mowa najmniej potrzebna...

Ubogi człowiek bez mowy musi wiele cierpieć, zwłaszcza jeżeli był pierwiej bogaty i próżnujący; ale ja mogłem już tylko żyć — cierpiąc! Bez tego roztrzaskałbym sobie głowę kulą rewolwerową albo o jaki mur. I z początku bardzo myślałem, aby tak zrobić, ale potem zawstydzilem się tego myślenia jak nowej plamy. Uciekłbym tym sposobem od samego siebie, ale wstąpiłbym do grobu tak samo, jak byłem: poplamionym.

Kilka lat temu zacząłem słabnąć i opanowała mnie ta choroba, z której teraz umieram. Wtedy zapragnąłem strasznie zobaczyć raz jeszcze w życiu swoje rodzinne strony. Nie miałem pieniędzy na drogę, więc trochę pieszo, trochę o głodzie, trochę o żebranych chlebie dostałem się tutaj i zacząłem najmować się do piłowania drzewa. Ale już nie zdołałem długo. Nie jestem tak stary, jestem młodszy od twego brata, pani, ale czasem jedno życie tyle znaczy, co dziesięć.

Bóg dał mi to szczęście, że ciebie zobaczyłem. Nie potrafiłem tego szczęścia znieść po cichu, bo było ono pełne boleści... Za to, że upadłem wtedy przed tobą na ziemię i że krzychałem z okropnej trudności powstrzymania się od mowy, której miałem pełne piersi i pełne usta... przepraszam!

I za to przepraszam, że list ten piszę. Przez wiele dni go piszę, bo tak mi trudno... ale odeślę przed samą śmiercią. Miałem postanowienie, abyś nigdy nie dowiedziała się, co się ze mną stało i kim był niemy trac. Ale zabrakło mi siły do pozostania na zawsze czarnym w twojej pamięci... Nie mogłem! Boże mój! tyś świadkiem, że tego jednego nie mogłem! Niech ona nie myśli, że po wszystkim, co stało się i gdym ją utracił, piłem szampana i różne tam inne...

I ty mi przebacz! Tyle lat przeszło, jestem teraz jak ci prości ludzie, którzy prawie nie umieją pisać... Wszystko stoi mi przed oczyma, jak gdyby wczoraj było... Ten kulig, moje stepowe konie, taki jasny rąbek nieba nad śniegiem... domek leśny...

Jeszcze dwa wiersze pisma, prawie zupełnie już nieczytelnego. Kilka słów tylko do połowy wynurza się z chaosu znaków.

Bóg... może... do grobu... z czystą duszą...

Jak przez mgłę zobaczyłam pobladałą twarz brata. Silny ten człowiek obu rękoma ścisnął głowę, zbielełymi ustami szepcząc:

— Boże! Boże! Boże wielki!

A potem zawołał:

— Chodźmy! Nie! Jedźmy! Prędej!

Jadąc trzymałam na kolanach chudą dziewczynkę, która wskazywała drogę. Wkrótce przybyliśmy do miejsca, od którego jechanie stało się niepodobne i puściliśmy się pieszo, biegiem spiesznym, w gęstym już zmierzchu, przez labirynt uliczek, podwórek, ruder, plotów, śmietnisk, aż przewodniczka nasza zawołała:

— Tu! Tu!

I we wnętrzu niskiej chałupy zniknęła.

Mała izdebka z ciemnymi ścianami i w świetle nędznej lampki, mętnie majaczące postacie ludzkie, z których jedna ujrząwszy nas wchodzących, stłumionym głosem rzekła:

— Już! Już!

W tym nawet siedlisku nędzy można było po uciszonych postaciach i głosach rozpoznać, że śmierć już tu jest; ktoś milczącym gestem wskazał zamknięte, niskie drzwiczki.

Prosiłam brata, aby na chwilę tu pozostał, bo chcę być sama jedna...

Otworzyłam niskie drzwiczki i cicho je za sobą zamknęłam.

Tam nie izba już była, lecz nora bez okna, z wilgotną ziemią zamiast podłogi. I nie lampka już choćby nędzna, lecz gliniany kaganek z żółtym płomykiem nad odrobiną tłuszczu. Dym kaganka szedł w ciemność, a płomyk jego czerwoną plamą znaczył spróchniałą ścianę.

Pod plamą czerwonego światła grubym okryciem zasłonięte martwe na niskim legowisku wzdymały się kształty człowiecze. Ciężkie, kamienne kształty, z twarzą ginącą we włosach osypanych popiołem.

Oparłam się o niskie odrzwia i stałam zmartwiała jak ten trup...

Był niegdyś zielony dzień majowy... Las, młode pędy sośniny jak pęki świec w kandelabrach jasne w słonecznym złocie, deszcz jaskrów na murawie, wysoki krzak róży dzikiej... Płatki różane padają mi na ręce i suknię — jeden upadł na jego złote włosy i drż jak różowy motyl...

Pierwsze spotkanie nasze.

I oto jak spotkaliśmy się po raz ostatni.

Umilkła. W głębi pokoju, dotykane dalekim światłem lampy, mętnie majaczą iskry popiołów na książkach i zarysy obrazów na ścianach. Za oknami stoi bezoka noc listopadowa i w czarnym łonie toczy westchnienia coraz głębsze, coraz głuchsze, coraz dalsze...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-dziwna-historia>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Izabela Erdmann.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.